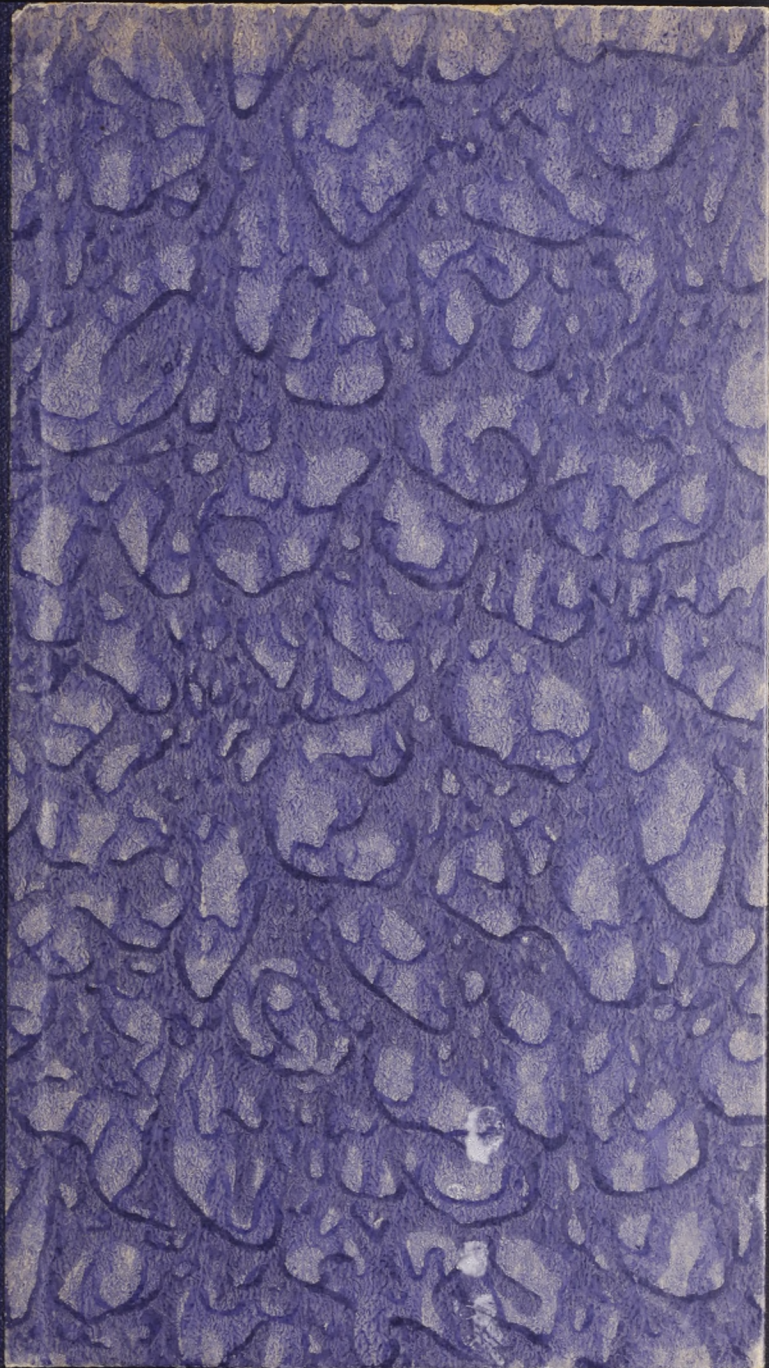
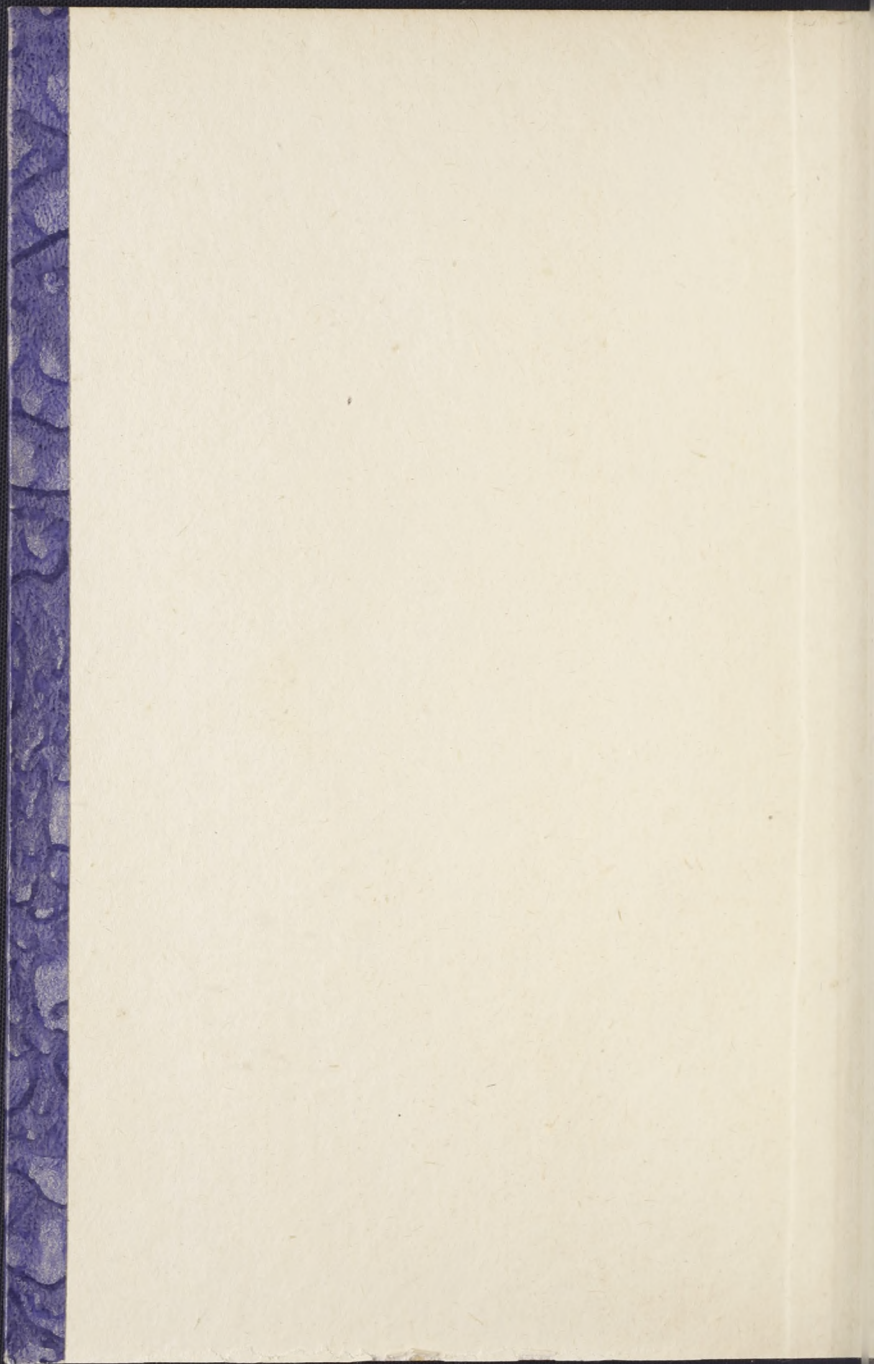
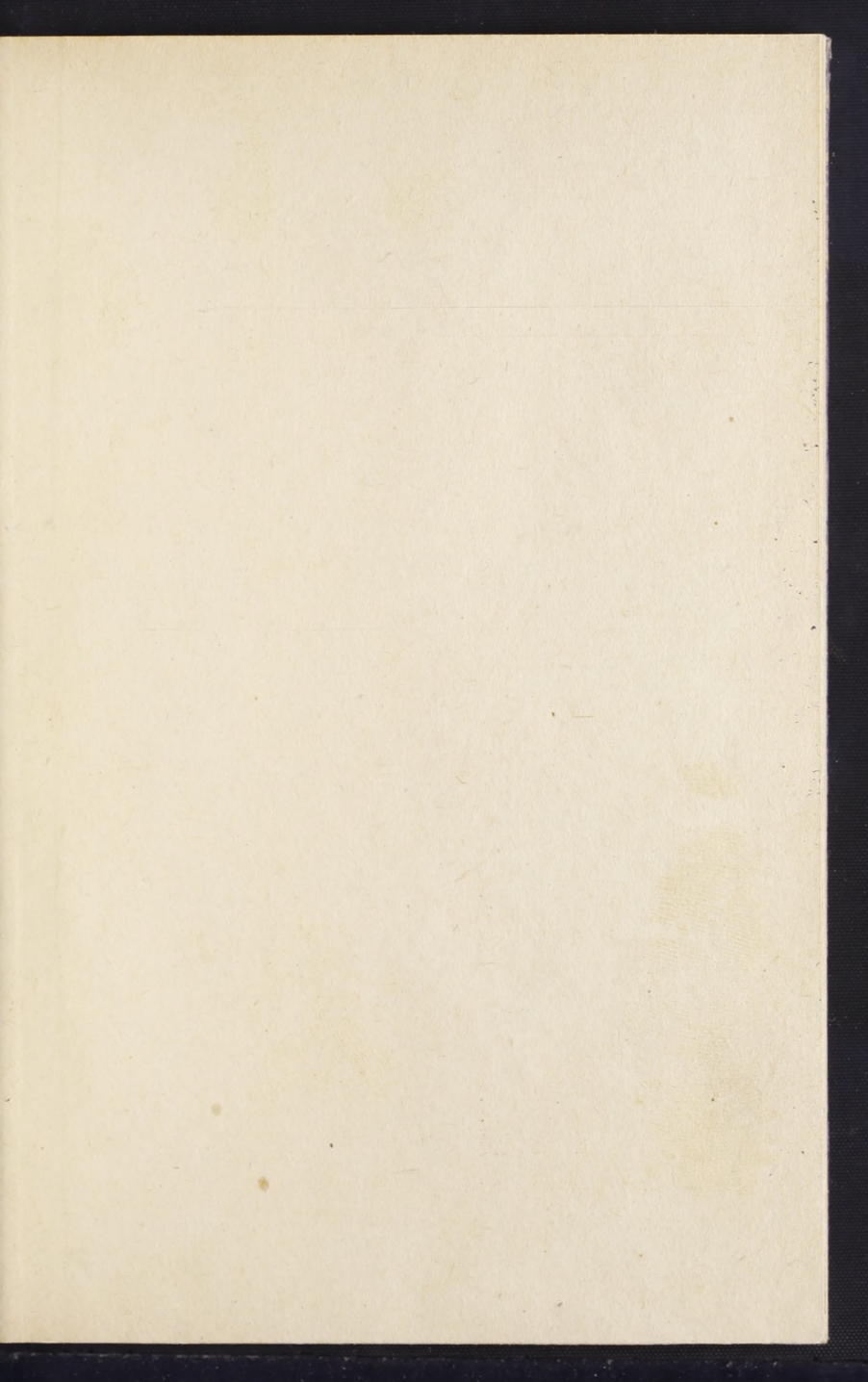
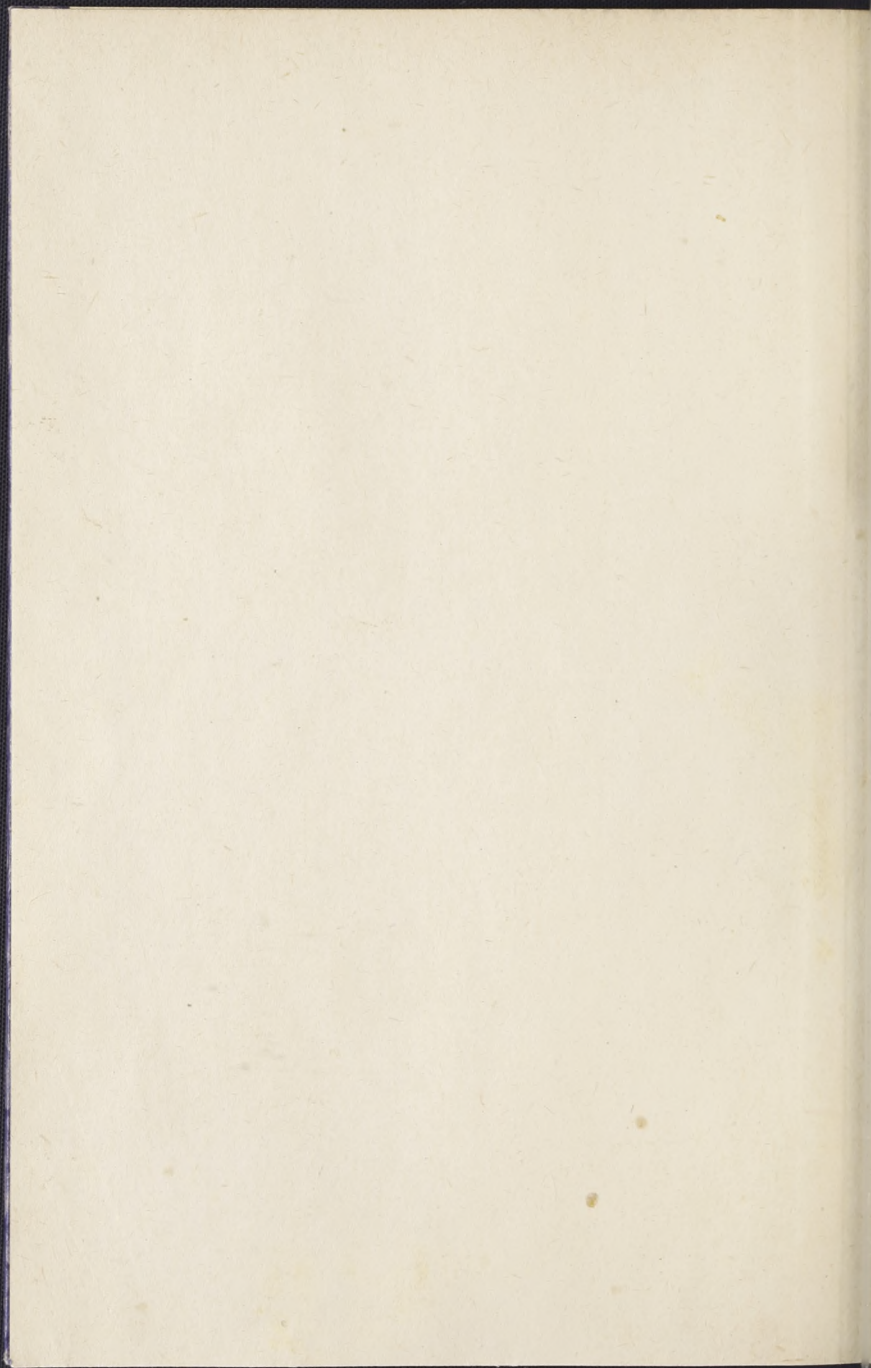


409046









409 046
Zajmujące czytanki ilustrowane. Nr. 111

E. S. Thompson

NOWE OPOWIADANIA Z ŻYCIA ZWIERZĄT

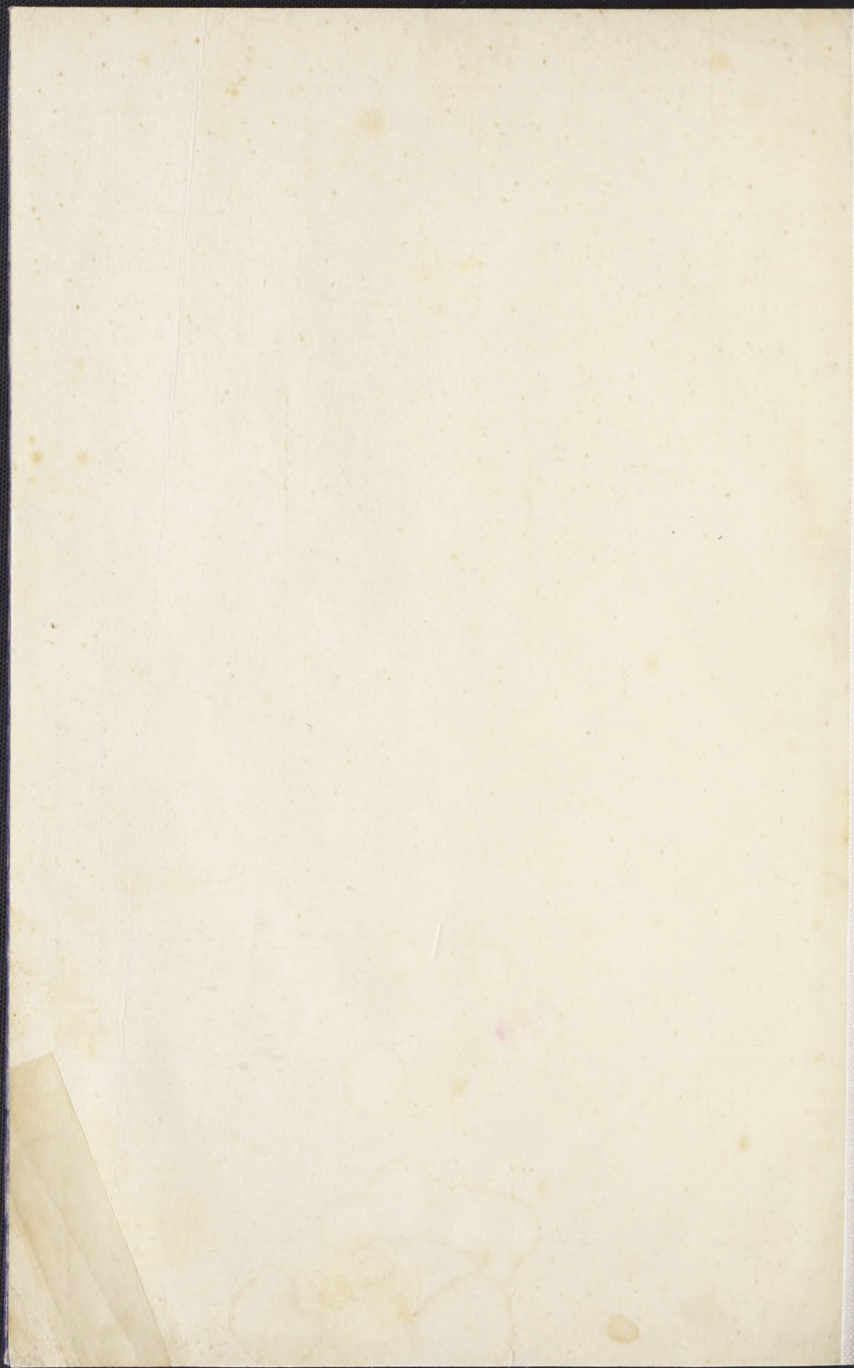
MATKA CYRANKA

DLACZEGO SIKORKI TRACĄ ROZUM RAZ W ROKU



z angielskiego przez
MARJĘ ARCT-GOLCZEWSKĄ.

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie



Zajmujące czytanki przyrodnicze.

Ernest Thompson.

NOWE OPOWIADANIA Z ŻYCIA ZWIERZĄT

MATKA CYRANKA

DLACZEGO SIKORKI TRACĄ
ROZUM RAZ W ROKU

z angielskiego przez

MARJĘ ARCT-GOLCZEWSKĄ.

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

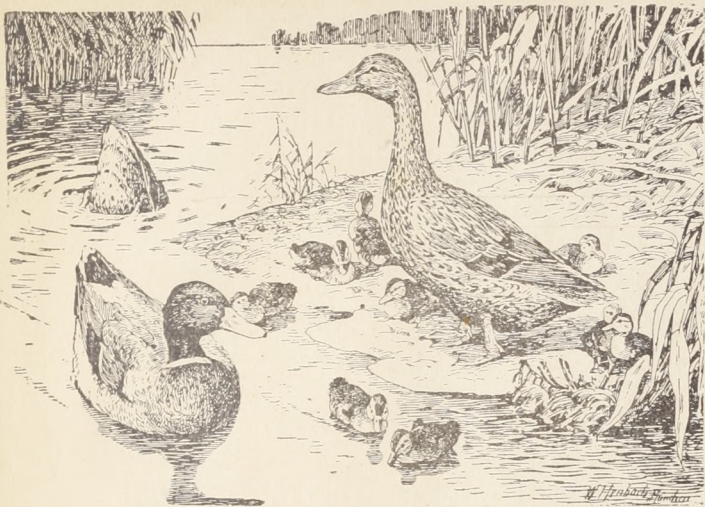


I.409.046

DRUKIEM M. ARCTA w WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

1911

1368 K 1242/21



MATKA CYRANKA I JEJ PODRÓŻ PRZEZ ŁĄD.

Pewna kaczka dzika z zielonemi skrzydłami, zwana cyranką, zbudowała sobie gniazdo w trzcinie, na brzegu stawu, zarośniętego roślinami. Staw ten był jej ojczyzną: tu znajdowało się niegdyś gniazdo jej rodziców, tu przyszła ona na świat i szczęśliwie się wychowała — tu więc chciała umieścić swą przyszłą rodzinę.

Nasza kaczka nie miała wiele trudu przy budowie gniazda. Wybrała sobie zaciszny kącik wśród trzciny na ziemi, wygniotła w nim swym ciałem dołek, wyłożyła trawą, liśćmi, a na wierzchu gniazdo to wysłała własnym puchem.

Robiła to sama, bo mąż jej zginął niedawno bez wieści — zapewne zastrzelił go jakiś myśliwy. Na razie było jej przykro zostać samej, ale że musiała teraz troszczyć się o jajka zniesione w gnieździe, więc przestała się smucić.

W gnieździe tym znajdowało się już dziesięć jajek. Teraz siadła na nich, by je ogrzewać swym ciałem. Przecież z jajek tych miały powstać żywe istotki — należało więc dbać, aby się nie przeziębiły. To też, gdy cyranka schodziła z gniazda aby się posilić, wyrywała sobie z piersi piórka i przykrywała nimi jajka.

Pewnego ranka, gdy zeszła z nich, usłyszała jakieś podejrzanе puknięcie w zaroślach wierzbowych obok gniazda. Nie zatrzymała się jednak, lecz sunęła dalej. Gdy powróciła do gniazda, zauważyła obok ślady nóg człowieka; nakrywa puchowa była rozrzucona, ale jajka wszystkie leżały nietknięte. Albo więc człowiek ten nie był nieprzyjacielem kaczki, albo spłoszyło go coś i odszedł.

Z dnia na dzień oczekiwała matka cyranka wyklucia się dzieci. Serduszko jej biło coraz mocniej, a jajeczka swe pieściła, jakby już były żywe. Pochylała się coraz ku nim i zdawało się, że rozmawia z nimi. Zapewne maleństwa zamknięte w skorupkach odzywały się, ale to „pip, pip” było tak cichutkie, że tylko

uszy matki mogły je dosłyszyć. Jednakże musiały i maleńkie uwięzione kaczuszkę słyszyć głos matki, bo skądżeby umiały tyle kaczych wyrażań zaraz po wyjściu z jajka?

Matka cyranka, pomimo zbliżającej się chwili radości, była czymś bardzo zmarzwiona i ciągle spoglądała niespokojnie na staw: oto już dawno bardzo deszcz nie padał i staw zdawał się wysychać. Co biedna matka pocnie ze swemi piskletami bez wody! A tu codzień jej ubywało i tylko na drugim końcu stawu błyszczał jeszcze szeroki jej pasek. O, gdyby deszcz chciał popadać choć jeden dzień!

Ale nadaremne były życzenia cyranki. Susza i spiekota nie ustawały i trzeba było myśleć o podróży z maleństwami do drugiego stawu po przez duży, szeroki ład.

Wreszcie wykluły się kacząta. Skorupka po skorupce pękała i wyrzalało na świat dziesięć żółtych łebków, każdy stanowiący nowe życie. Otrząsnawszy się z reszty skorupki, wyszło z nich dziesięć ptasząt, jakby żółtych kulek, dziesięć malutkich poduszczyków z puchu.

Ale ciężko zaczęło się ich życie! Ach! gdyby opiekuńcze słońce zesłało choć trochę deszczu, toby się utworzyła kałuża, na której mogłyby kacząta spędzić pierwsze chwile swego życia!

Jakże to takie bezsilne stworzenia

prowadzić daleko? Nie było jednak innej rady — musiały małe zginąć, albo przejść długą drogę po ziemi.

Matka cyranka postanowiła odbyć tę podróż, choć ze strachem i niepewnością.

Przez kilka godzin po urodzeniu, kaczęta mogą obejść się bez jedzenia — wystarczy im to, co miały w jajach. Czy jednak wytrzymają one tak długo bez pokarmu, zanim dojdą do sąsiedniego stawu? Czy unikną różnych nieszczęść, przytrafiających się w drodze? Tyle nieprzyjaciół czyha na biedne ptaszęta: jastrząb, sokół, lis, kuna, nawet wiewiórka i wąż — nikt nie opuści zdarzającej się zdobyczy!

Wszystko to przeczuwała instynktownie biedna matka, chociaż nie wiedziała o tym naprawdę.

Gdy wszystkie dziesięcioro kacząt otrzepało się i wysuszyło po wyjściu z jajek, zaprowadziła je matka na zieloną trawę. Pocieszenie wyglądały te maleństwa, gdy pięły się przez źdźbła trawy, które wydawały się dla nich wielkimi drzewami, zagradzającymi drogę. Matka patrzyła na swe skarby jednym okiem, drugim zaś śledziła okolicę, gdyż wiedziała dobrze, że oprócz niej jednej, małe nie miały na świecie żadnego przyjaciela, żadnego opiekuna. Wszystkie otaczające je istoty były dla nich usposobione albo wrogo, albo obojętnie.

Po długiej i uciążliwej podróży przez trawę, dotarła gromada kacząt do pagórka piaszczystego i tu zatrzymała się przez chwilę w cieniu konarów topoli. Wszystkie kaczuszki szły doskonale, tylko jedna malutka, najśłabsza ze wszystkich, zatrzymywała się po drodze co chwila i matka miała słabą nadzieję, żeby ta jej córeczka dotrzeć mogła do upragnionego stawu.

Gdy już wszystkie wypoczęły, matka wydała cichutki dźwięk — „kwa, kwa”, co znaczyło:

— Chodźcie dalej, dzieci.

Natychmiast wszystkie rozpostarły swe skrzydelka i podążyły za matką, skrobiąc się niezgrabnie po korzeniach; piszczały radośnie, gdy droga była gładka — to znowu bardzo żałośnie, gdy weszły w gąszcz.

Wreszcie przyszły na wielką otwartą polanę. Tu było doskonale wędrować, ale zato groziło niebezpieczeństwo z góry — od jastrzębi. Matka cyranka zatrzymała się więc przez długą chwilę przy brzegu zarośli i zbadala starannie niebo, zanim odważyła się wyjść na otwarte miejsce. Wydawało się jej na razie, że jest czysto i bezpiecznie wokoło, puściła się więc ze swoją rodziną przez tę pustynię, długą na sto metrów.

Małe bączki szły z nią dzielnie, opuszczając, to unosząc wysoko swe żółte ciała, a pomagały sobie skrzydełkami, wyciągając je jak ramiona ku matce.

Cyranka chciała przejść całą tę niebezpieczną przestrzeń za jednym zamachem, to też pośpieszała bardzo. Wkrótce jednak przekonała się, że jestto niemożliwe. Najsilniejsze z kacząt ledwie dotrzymywało jej kroku, inne maszerowały według sił—tak, że z całej rodziny kaczkiej wytworzył się szereg długi na jakie dwadzieścia stóp, a najsłabsze kaczątko oddalone było od wszystkich przynajmniej na 10 stóp i piszczalo przeraźliwie.

Niepodobieństwem było posuwać się dalej takim krokiem i choć z wielkim strachem, musiała się cyranka zatrzymać. Pisklęta, widząc to, wsunęły się pod jej skrzydła, piszcząc radośnie. Wkrótce matka dała znak do wyruszenia i wszystkie jej dzieci wypoczęte, z nowymi siłami podążyły za nią i za miłym jej głosem, który brzmiał:

„Kwa, kwa! odwagi, śmiałości, moje drogie”!

Nie uszły jeszcze pół drogi i znowu widąc było na nich straszne znużenie — i znowu niektóre pozostawały w tyle.

Wtym zjawił się w górze wielki jastrząb błotny. Widziała go matka dobrze i zawołała na dzieci „skwat”. — Te w jed-

nej chwili przysiadły w piasku, tak że przestały być widoczne.

Najmłodsze kaczątko zadaleko jednak było i nie usłyszało głosu matki, to też w okamgnieniu porwał je jastrząb i uniósł w krzaki. Co biedna matka mogła zrobić? Popatrzyła z rozpaczą na rabusia, unoszącego bezkarnie jej dziecko i po-



myślała zapewne, jakim prawem śmiał on porywać jej drobne, bezbronne pisklę?

Tymczasem jastrząb leciał ze swą zdobyczą w kierunku stawu, gdzie na jednym z wysokich drzew znajdowało się gniazdo jego z młodemi jastrzębiami.

Wtym wyleciała z zarośli gromada wron, które rzuciły się na jastrzębia, krzycząc przeraźliwie; jastrząb przeląkł się i zaczęła się gonitwa. Gruby, ciężki jastrząb naprzód, a za nim czarne wrony — coraz dalej, dalej, aż wreszcie znikły z oczu cyranki.

— Dobrze, że nie zauważyły drobnych kacząt na ziemi — pomyślała biedna matka, która patrzyła na tę gonitwę przerażona, a zarazem rada, że jeden rabuś goni drugiego, pozostawivszy resztę jej rodziny w spokoju.

Choć ból matki - kaczki nie był tak głęboki, jak matki człowieczej, jednakże był on szczery — ale, że miała ona pod sobą jeszcze dziewięcioro drobnych istotek, zwróciła swą miłość ku nim. Przedewszystkiem zaprowadziła małe do zarosli, gdzie spokojnie i w chłodzie wypocząć mogły.

Potym wyszły znowu na polanę, ale teraz nie wypuszczała ich matka z pod skrzydeł. Całą godzinę trwała ta podróż, pełna strachu i niebezpieczeństw.

Staw był już bliźutko — co było bardzo pożądane, gdyż kaczuszki szły ledwie żywe ze znużenia i pragnienia, a nóżki ich, podrapane, wyginały się pod nimi. Ostatni odpoczynek urządziła matka w cieniu rozłożystego buku.

I tu zdarzył się wypadek, o którym rodzina kacza nigdy się nie dowiedziała.

Oto w tym ukryciu czyhała na małe śmierć zupełnie w innej formie, niż ją dotychczas znały.

Chytry lis natrafił na ślady kacząt; jego ostry węch zawiadomił go odrazu, że niedaleko znajduje się smaczna zdo-

bycz. Szedł więc cichutko za śladem i wlaź w zarośla. Właśnie zamierzał rzucić się na kaczęta i w jednej chwili byłby w posiadaniu całej rodziny, lecz stało się coś dziwnego. Już, już był bliźutko kaczuszek, nie dalej jak na odległość kroku, tak że doskonale mógłby policzyć kaczęta, gdyby liczyć umiał, gdy wtym podniósł nos do góry. Coś go zaniepoko-



ilo, widać przeczuł jakieś zbliżające się niebezpieczeństwo i w oka mgnieniu skoczył w bok, zanim go nawet czujna matka - cyranka dojrzeć zdołała.

W chwilę potem wędrowały dalej małe, żółte istotki za swą matką. Ujrzały wreszcie brzeg stawu — dzielił je od niego tylko malutki bezleśny kawałek. Cyranka pobiegła szybko, wołając:

— Chodźcie prędko moje dzieci! kwa, kwa, kwa...

Ale ta bezleśna ziemia była kawałkiem jednej drogi, na której znajdowały

się głębokie ślady kół wozu. Były to jakby kanały o wysokich brzegach. Śpiesząc za matką, biedne kacząta wpadły na sam dół kołowych rowków. Za słabe i za małe były, aby mogły same stamtąd się wydostać, a matka nie wiedziała jak im pomóc.

Toż to trafiło się im prawdziwe nieszczęście! Małe piszczały żałościwie, a matka biegła koło nich, starając się zachęcić je do nowych prób. — Nadaremnie! I gdy tak biedna kaczką usiłowała wybrnąć ze straszliwego położenia, zjawił się w pobliżu ku wielkiej jej trwodze największy wróg kaczek — człowiek.

Matka - cyranka padła jak nieżywa u jego stóp — nie żeby go błagać o litość, ale żeby, udając ranioną, zwrócić na siebie jego uwagę a odwrócić ją od dzieci.

Ale człowiek ten znał kaczy podstęp i nie dał się zwieść. Zostawił więc starą leżącą, a sam udał się za piskiem małych i znalazł je wszystkie w zdradnym dołku. Przerażone pisklęta starały się ukryć, ale napróżno; wyraźnie widać było dziewięć żółtych puszków! Człowiek pochylił się i włożył piszczące przeraźliwie maleństwa do kapelusza. Widząc to, cyranka rzuciła się jeszcze raz do nóg wielkiemu człowiekowi, tym razem jednak jakby chciała błagać go o litość.

Człowiek nie patrzył na nią i skierował się prosto do stawu. Co on chciał robić z kacuzzkami — czyż je zamierzał potopić?

Oto brał je do ręki kolejno i — jedno o po drugim puszczał na krystaliczną wodę...

Uradowana matka wskoczyła za nimi i popłynęła, a kacuszki, jakby nauczone podążyły za nią.

Cóż to był za dziwny człowiek! Kaczka była tak przejęta nienawiścią i bojaźnią do rodu ludzkiego, że nie mogła nawet przypuścić, iż ten jeden był jej przyjacielem — i że już dwukrotnie uratował życie jej rodzinie. On to bowiem spłoszył lisa krwiożerczego — i on przeniósł drobne, bezsilne pisklęta do ich upragnionego celu.

Cyranka nie dowierzała mu jednak i będąc już panią na stawie, starała się odpłynąć jaknajdalej od groźnej, dwunożnej, wielkiej istoty. Popłynęła więc w poprzek na otwarty staw. Ale popełniła przez to ogromny błąd, gdyż w ten sposób wystawiła swe dzieci na niebezpieczeństwo od prawdziwych wrogów. Znowu bowiem nadleciał jastrząb błotny z nadzieją złapania choć dwojga kacząt w swe szpony.

— Kwa, kwa, kwaaa, — zakrzyczała kaczka — i zagrożone jej kacuszki po chwili podążyły ku trzcinom.

— Prędzej, prędzej — (kwaa, kwaa) — wołała ciągle matka; ale jastrząb był już tak blisko, że pomimo całego pośpiechu dosięgnąłby je odrazu. Słabe ich nóżki nie dozwalały na szybkie pływanie, a nurkować pod wodą jeszcze nie umiały: wydawały się więc zgubione. Wtym, gdy jastrząb był już nad samą wodą, plusnęła cyranka całą siłą o staw, tak że woda rozprysła się w powietrze i zalała oczy jastrzębiowi.

Oślepiiony, frunął wyżej, by się otrząść z tej niespodziewanej kąpeli a tymczasem bohaterka matka podążała naprzód z dziećmi do zarośli trzcinowych. Jastrząb jednak powrócił... i znowu poczęstowała go kaczka zimną kąpielą — powtarzało się to trzy razy, a przez ten czas małe zdołały skryć się w zaroślach wodnych. Napastnik rzucił się więc na matkę, ale ta dała dobrego nurka, poczęstowawszy go na pożegnanie jeszcze lepszym natryskiem.

Płynęła pod wodą aż do miejsca, gdzie skryły się pisklęta i wydała słodkie „kwa, kwa”. Natychmiast ukazało się dziewięć żółtych kulek i otoczyły matkę radośnie. Tu, w trzcinie, mogły teraz swobodnie odpocząć.

Gdy już trochę odpoczęły, zaczęły za przykładem matki dziobkami łapać wodę, a potem podnosiły łebki nad po-

wierzchnię stawu i wypuściwszy bokami dzióbka wodę, łykały złapane roślinki i drobne owady.

Gdy tak kaczęta zajęte były tą nową



dla nich czynnością, matka nadstawiała ciągle uszy, by wysłedzić, czy nie zbliża się coś nowego, jakie nowe niebezpieczeństwo.

Wtym zastanowiła się zdziwiona; zdaleka dochodził ją cichy pisk kaczątka.

Odpowiedziała na to w a b i ą c y m „kwaaak” — i z zarośli wypłynęło śmiało piskłę, w którym cyranka poznała swe najmłodsze dziecko, porwane w drodze przez jastrzębia.

Widocznie rabuś, uciekając przed wronami, upuścił swą maleńką zdobycz — a że to było nad stawem, kaczątka w wodzie zaraz orzeźwiało i wiedzione instynktem, schowało się w trzcinę, gdzie odszukało swą matkę i rodzeństwo.

Po tych przygodach pierwszego dnia życia, nauczyły się małe kaczęta ogromnej ostrożności, tak że cała rodzina zdołała uniknąć różnych wypadków i żyła na stawie szczęśliwie aż do chwili, gdy kaczątka wyrosły na dzielne cyranki i na własnych skrzydłach odważyły się puścić w wielki, szeroki świat.



DLACZEGO SIKORKI TRACĄ ROZUM RAZ W ROKU.

Dawno, bardzo dawno temu, gdy na pół nocy nie bywało jeszcze wcale zimy, żyły sobie sikorki wesoło w lasach wlicznej rodzinie. Nie myślały wtedy o niczym, tylko o swym życiu codziennym i o tym, jakby sobie to życie, wśród gęstych zarośli — uprzyjemnić. Pewnego roku jednak przysłała matka-Troska do wszystkich ptaków poselstwo ostrzegające, że mróz i śnieg nawiedzi ich ojczyznę, a więc radzi im, żeby powędrowały na południe, bo tu mogłyby zginąć z głodu i chłodu.

Ptaszki zastanowiły się nad tym i wielu krewnych sikorek przejęło się tak

bardzo tą wiadomością, że zaczęli się na serjo naradzać nad wyjazdem i wypytywać się o drogę na południe. Tomtit — tak nazywano przewódcę sikerek za jego dźwięczny śpiew — śmiał się z tego i szyb-



ko obrócił się kilkanaście razy wokoło gałązki, która służyła mu za trapez.

Na południe wędrować? — mówił — ani myślę o tym; tu podoba mi się bardzo, a co się tyczy mrozu i śniegu, tego nigdy nie widziałem i nie wierzę w to.

Mimo to wszystkie ptaszki tak były zajęte przygotowaniami do podróży, że wreszcie niepokój ten udzielił się trochę i naszym sikorkom. Często przerywa-

ły więc zabawę swoją i szły na gawędę do przyjaciół, ale to, czego się od nich dowiedziały, nie podobało im się. Usłyszały, że ptaszki mają udać się napewno w jakąś daleką podróż, która miała trwać wiele dni, a podróżować miały tylko nocą, aby uniknąć napaści ptaków drapieżnych. — Sikorki jednak ciągle myślały sobie, że to jest jakieś wielkie głupstwo i pofrunęły do lasu z głębokim postanowieniem nie słuchania namów krewniaka.

Ci jednak brali rzecz poważnie i zbierali wiadomości o drodze. Wielki jasny księżyc w górze i pobudka dzikich gęsi, miały ich prowadzić, a w drodze miały śpiewać, aby nie rozproszyć się i nie zginąć w ciemności.

Sikorki, dumne ze swego postanowienia, świergotały tym głośniejsze, im dalej szły przygotowania do podróży i śmiały się z ich narad. Wreszcie pewnej nocy księżycowej wzniosła się w powietrze gromada ptasząt i znikła wkrótce z przed oczu sikorek. Te z żalem spoglądały przez chwilę na odlatujących towarzyszków — w końcu, powiedziawszy, że krewniacy ich prawdopodobnie zupełnie stracili rozum, wróciły do lasu.

Wkrótce jednak zaczęło robić się w lesie coraz smutniej, a i powietrze stało się jakoś dziwnie chłodne.

W jakiś czas potym zrobiło się rzeczywiście bardzo zimno, biały mróz pokrywał rano drzewa, a później spadł śnieg i nakrył białym płaszczem ziemię. Sikorki przeraziły się strasznie. Nie wiedziały, co teraz począć. Skakały z drzewa na drzewo i oglądały się za kimś, ktoby im wskazał drogę na owo południe. Zamyślały teraz pociągnąć za krewniakami, ale napróżno — nikt nie umiał ich objaśnić. Latały więc, jak bez rozumu po lesie, skakały z gałęzi na gałąź — bez ładu i celu. Nie było dziupli w drzewie, ni gniazda wiewiórki, gdzieby nie wlaźła jakaś sikorka i nie pytała, czy to tu jest południe, a nie otrzymawszy odpowiedzi — zostawała, gdyż tam jakoś cieplej jej się wydawało.

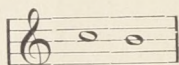
W czasie tym przechodził znowu poseł od matki-Troski, wysłany przez nią na daleką północ. Zaczepiły go sikorki, ale on im nic nowego powiedzieć nie mógł. Przypomniiał im tylko, że w swoim czasie przynosił on wszystkim ptaszkom jednakową wiadomość, ale one słuchać nie chciały i nawet nazwały swych krewniaków „szaleńcami“. Dodał jeszcze, że znając matkę-Troskę, może napewno sikorkom powiedzieć, że będą musiały cały ten śnieg przetrzymać, i to nietylko teraz, ale każdego roku, bo co rok przychodzić tu będzie ciężka zima. Ra-

dzi więc im, aby się z tym pogodziły i starały się teraz do zimy przystosować i czas ten jak można najlepiej spędzać.



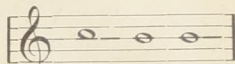
Smutne te wiadomości trapiły sikorki, ale że były to małe zuchy, więc przekonawszy się, iż nie da się nic zmienić, postanowiły spokojnie znieść swój los i wytrwać w nim jak najlepiej. Zaczęły więc skakać znowu wesoło po lesie i wyszukiwać sobie pożywienia. Znalazło się tam

dosyć różnych jagód, a choć niejedne były przemarznięte, smakowały jednak doskonale. Na noc wchodziły do gniazdek swoich i innych opuszczonych przez ptaszki, tak że nie odczuwały tak bardzo przykrej zimy. Przytym były pełne dobrej nadziei, że zima wkrótce się skończy i przejęte tą myślą z początku, gdy przychodziła zawieja śnieżna, zbierały się, i mówiły, że to jest „oznaka wiosny“, a jeden z nich—Tomtit wyśpiewywał wesoło:



Wiosna idzie

Drugi zaś dodawał:



Wiosnę widać.

I opowiadały jedno drugiemu, i wszystkie powtarzały tę piosenką, aż las rozbrzmiewał nią radośnie. A człowiek słysząc ją, polubił te drobne, miłe ptaszki, które tak dzielnie swój ciężki los znosiły.

Ale od tamtej pory co rok, gdy zaczyna wiać wiatr jesienny, sikorki zdają się tracić na chwilę rozum i fruwać po lesie bez ładu, a nawet można je widzieć nieraz w miastach, na drogach i dachach.—

Zdają się poszukiwać czegoś—wracają jednak do lasu, o ile nie przytrafił się im jakiś przykry wypadek na tej błędnej wędrowce. Nie opuszczają jednak nigdy swej ojczyzny i znoszą w niej przez rok cały dobrą i złą dolę.



TREŚĆ.

Matka Cyranka i jej podróż przez ląd	<i>Str</i> 3
Dlaczego sikorki tracą rozum raz w roku	17



Tegoż autora, nakładem księgarni M. Arcta wyszły
następujące opowiadania przyrodnicze
w tłumaczeniu Marji Arct-Golczewskiej.

OPOWIADANIA Z ŻYCIA ZWIERZĄT.

Strzępouch, Matka liszka, Srebrnoplamik.— 50

NOWE OPOWIADANIA Z ŻYCIA ZWIERZĄT

Czerwonokryzek, dzieje pewnego bażanta. — 12

Wully, pies owczarski. — 10

Joch, dzieje małego niedźwiedzia. — 10

Śpiewak uliczny, przygody wróbla. — 10

Kotka śmieciarka. — 10

Dlaczego sikorki tracą rozum raz w roku.

Matka Cyranka i jej podróż przez ląd. — 10

Pod prasą:

Wilk z Winnipeg, przyjaciel małego Jima.

Chłopiec i ryś.

Baran górski.

Mały skoczek.

Legenda o białym reniferze.

Wilczysko czarnogrzyw.

Arno, gołąb pocztowy.

Gryzli — królewski niedźwiedź.

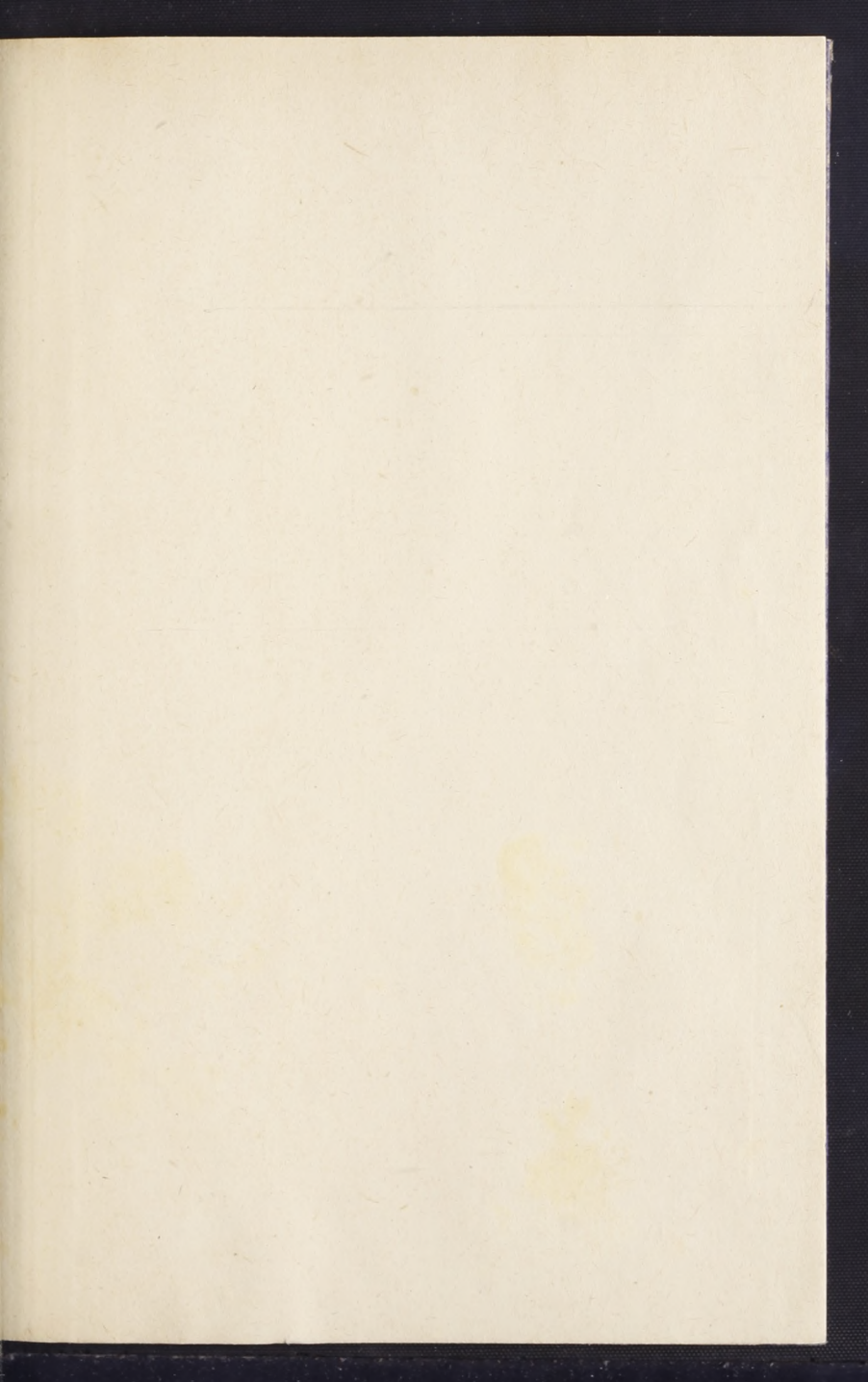
Jamnik cap.

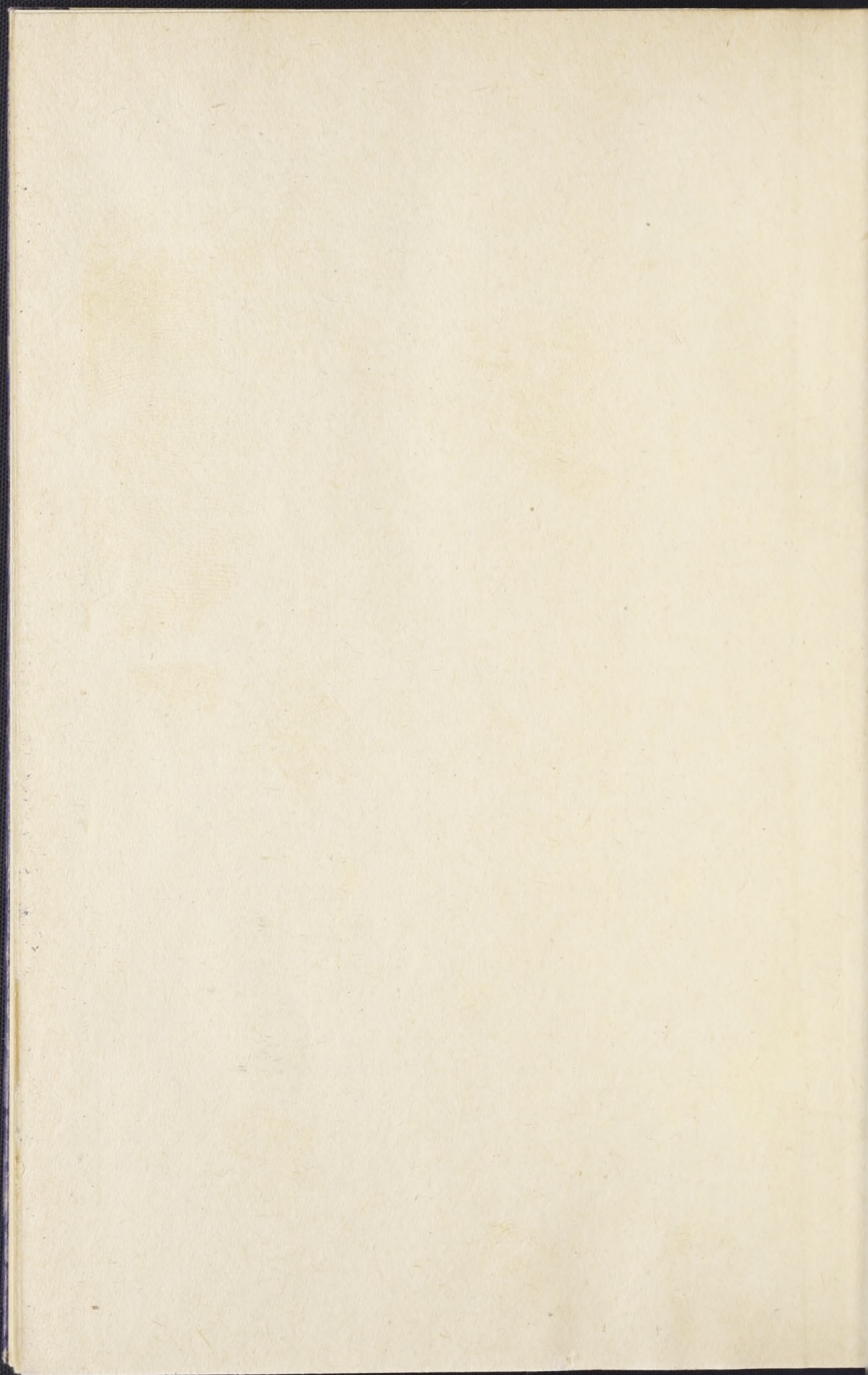
Tito, wilk stepowy i inne opowiadania.

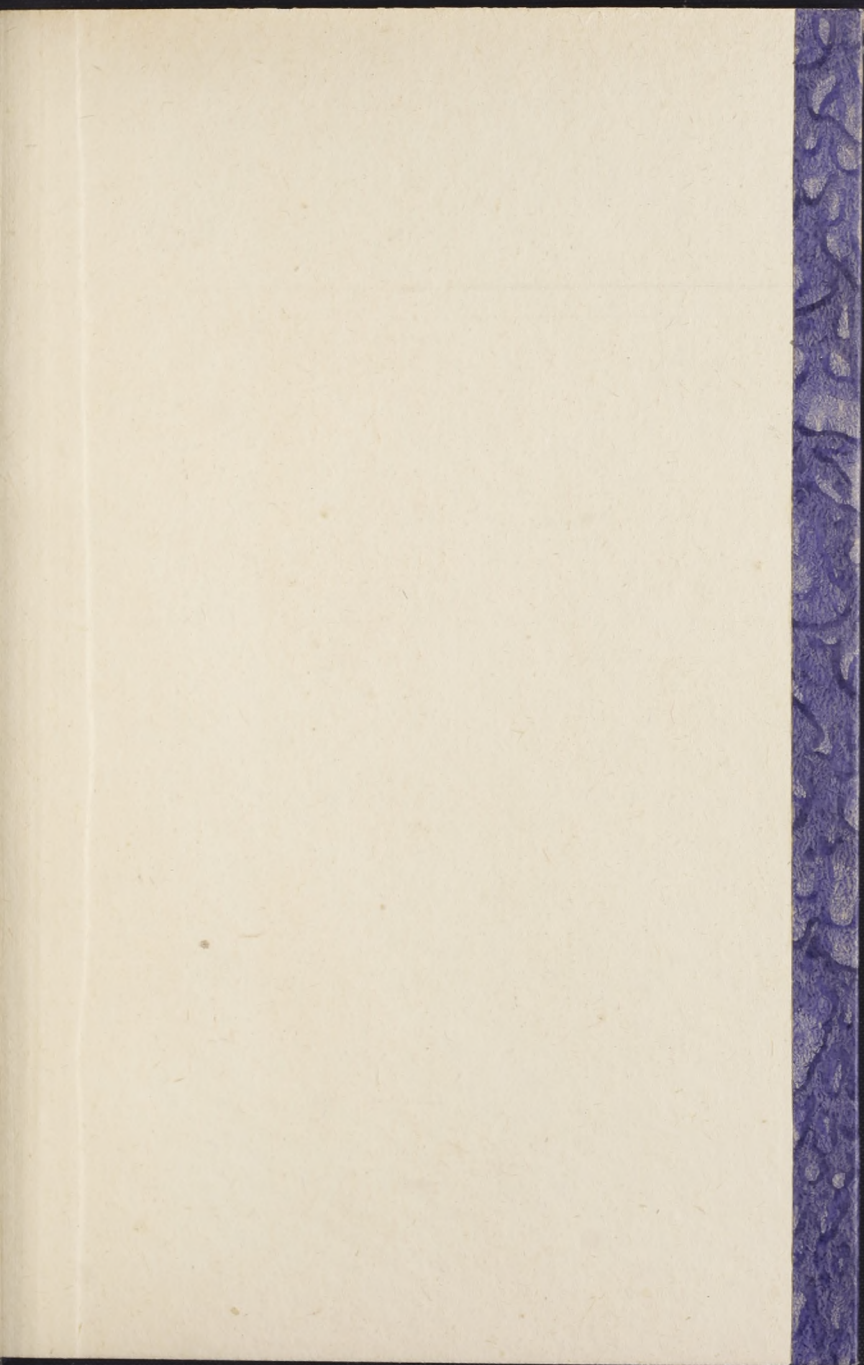
K. Kempka
11-ua 5.12.68
- 10zi

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY.

- AMICIS. Serce. (Pamiętnik chłopca). Książka uznana za najlepszą w świecie, dla młodzieży, przekład M. Obrepałskiej; wydanie III, z licznymi rycinami w ozd. opr. 1 —
w ozdobnej oprawie w płótno angielskie 1 50
- BUKOWIECKA Z. Wspomnienia młodej dziewczyny. Opowiadanie dla pańienek, podług 50 wydania Klementyny Helm, z 4 rycinami, w oprawie rb. 1; w oprawie ozdob. w płótno angielskie 1 40
- GLIŃSKI K. Polne kwiaty. Wybór poezji dla młodzieży, z licznymi ilustracjami, w opr. kop. 60; w ozdob. oprawie — 80
- GOULD J. Gwiazda przewodnia, powieść, opracowała Zofja Hartingh. Wyd. ami 1 —
— w opr. ozd. w płótno angielskie 1 40
- KOWERSKA Z. Losy Adasia. — Ofiara. — Ona. Trzy powieści, z 4 rycinami, w opr. 1 — w opr. ozd. w płótno ang. 1 40
- ANDREWS J. Czwooro moich przyjaciół i inne opowiadania, z licznymi rycinami, w oprawie — 5
- MARRENÉ W. Wakacje w Warszawie. Pogadanki o gmachach i pamiątkach Warszawy, oraz o ich architekturze; z licznymi rycinami, w oprawie — 80
- MARLITT E. Złota Elżunia. Powieść dla młodzieży, opracowała Z. Bukowiecka. Wyd. III, z rycin.; kart. 1 —
— w ozdobnej oprawie 1 50
- MASZEWSKA ST. Z życia dziewczyny. Opowiadanie dla starszych pańienek, z rys. H. Piątkowskiego, w opr. — 60
- MORAWSKA Z. Paniczyk. Powieść dla młodzieży. Z 15 rycinami, w oprawie — 75
- VERNE J. W puszczach Afryki. Opowiadanie, spolszczyła Br. Kowalska. Z 4 rycinami w oprawie — 65
- ZŁOTA KSIĄŻECZKA MŁODZIEŻY. Z uwagami o zachowaniu się towarzyskiem i koleżeńskim. Dzienniczek praktyczny na cały rok, z notatnikiem, w oprawie — 30
- WIERSZE I DEKLAMACJE. 150 wierszy i ustępów poetycznych, wybranych dla młodzieży, przez Marję Halińską. 250 str. w ozd. opr. k. 75; w ozd. opr. w pł. ang. 1 20
- GRY I ZABAWY TOWARZYSKIE w pokoju i na dworze z przyrządami i bez przyrządów. 200 gier z 80 obrazkami. Zebrała i ułożyła Marja Weryho, w oprawie — 90









BIBLIOTEKA
NARODOWA

409046